



24 luty 2004

numer 1 (2004)

W NUMERZE:

- relacja z Otrzęsin 2003/2004, strona 2,
- ciąg dalszy serii „Majątkowo jestem ustawiony a do geografii mam ciagotki”, strona 3,
- sprawozdanie z wyprawy Koła do Iranu – „Perskie wędrówki”, strona 5,
- reporter kołowy w górach Chorwacji czyli m.in. o minach...strona 7,
- „Ukraina 2003” – sprawozdanie z wyjazdu, strona 8,
- „Czy na pewno brak organizacji???” – przedstawiciele samorządu odpowiadają na zarzuty, strona 10,
- stały cykl pt. „Zgadnij kto to!!!”

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE:

- Iza Petas
- Janusz Górecki
- Szymon Fidel Komusiński
- Karol Janas
- Michał Plaza
- Dominik Płoskonka

współpraca:

- dr hab. J. Pociask-Karteczka
- doc. dr hab. Z. Górka
- Beata Gładyś
- Przemek Grudnik
- Łukasz Stachnik
- Łukasz Uzarowicz
- VonBaca '79

WSTĘPNIĄK

Z przyjemnością prezentujemy czytelnikom pierwszego w tym roku *Globusika*. Mamy nadzieję, że wzbudzi równie duże zainteresowanie jak numer poprzedni. Sukces odniosły zeszłoroczne apele w sprawie odmłodzenia kolegium redakcyjnego. Cieszy fakt, że pojawiła się grupa osób chcących nadać kołowemu pismu nową jakość. Chodzi tu przede wszystkim o wprowadzenie regularnego trybu ukazywania się pisma. Modernizacja zatem trwa; jej efekty zobaczymy już w następnym numerze.

W grudniu 2003 miało miejsce walne zebranie Koła Geografów na którym wyłoniono nowy Zarząd. Oto prezentacja aktualnego kierownictwa:

PREZES:

Michał Plaza
mplaza23@wp.pl

VICEPREZES:

Janusz Górecki
jgorecki@gazeta.pl

SKARBNIK:

Iwona Kukła
nebrasca@interia.pl

SEKRETARZ -

- ARCHIWISTA:

Dominik Płoskonka
setkadp@poczta.onet.pl

BIBLIOTEKARZ:

Izabela Sitko
isitko@o2.pl

GOSPODARZ:

Patrycja Trzaska
patrycja.trzaska@wp.pl

GOSPODARZ:

Łukasz Stachnik
weirtloo@poczta.onet.pl

Informacje o aktualnych wyjazdach, wymianach, imprezach, konferancjach itp. można znaleźć na kołowych tablicach, ostatnio (co bardzo cieszy) szczerze wypełnionych.

Janusz Górecki

OTRZĘSINY 2003/2004

Do kołowej tradycji należy zapewne od lat organizowanie otrzęsin dla pierwszego rocznika. W tym roku było z tym troszkę kłopotów, lecz ważne jest, że jednak się one odbyły - fakt że późno, bo dopiero czasie ostatniego listopadowego weekendu, ale jednak. Ale wszystko po kolei. Jak wiemy pierwotnie planowane jeszcze na październik otrzęsiny w chatce na Kudłaczach nie wypadły i zostały przełożone na bliżej nieokreślony termin, po czym wszyscy chyba o nich zapomnieli, aż tu nagle parę dni przed wyjazdem okazuje się, że w końcu maja się one odbyć. Niefortunnie zbiegły się one z Andrzejkami, co miało niestety wpływ na frekwencję, ale za to atmosfera była wyśmienita.

Chatka pod Potrójną, gdzie wszystko się odbyło, leży w samym sercu Beskidu Małego, toteż dojście do niej z Andrychowa, Wadowic, Suchej Beskidzkiej czy Żywca zajmowało mniej więcej tyle samo czasu. Akurat tak się złożyło, iż wszyscy na miejscu zjawili się o tym samym czasie: grupa główna z „kierownictwem” nie wysiliła się zbytnio i szła z Rzyków (wioski u podnóża Potrójnej), dwójka z nas wyruszyła z Suchej Beskidzkiej oraz ekipa rowerowa, której należą się wyrazy uznania za przyjazd tam prosto z Krakowa. Podam tu jeszcze podział kierunkowy uczestników: 4 geografów, 3 studentki „biol-geo” i jedna przedstawicielka geografii zaocznej. Gdy wszyscy byliśmy już pod chatką okazało się, że nie będziemy tam sami – noc andrzejkowa zorganizowali tam sobie również harcerze oraz uczniowie liceum muzycznego, którzy również umilali nam pobyt tam. Zaraz po krótkiej aklimatyzacji, przeszliśmy do spraw, które nas na Potrójną sprowadziły czyli otrząsania, lub jak kto woli „kocenia”.

Pierwsza część składała się z egzaminu humanistyczno-artystycznego, a mianowicie z przedstawienia stworzonych przez nas limeryków oraz odśpiewania w różnym stylu fragmentów dekretu o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Dodam, iż nie było to takie łatwe, ponieważ podczas egzaminowania każdy z nas skuty był w dyby, co być może zobaczycie na dołączonych zdjęciach. Druga część była już stricte związana z naszą dziedziną nauki. Po zaliczeniu egzaminu z kartografii każdy z nas został wysłany by nieść „kaganek oświaty” – nieobecnych informuje, że ćwiczenia te realizowane w lesie po ciemku z takim przyrządem terenowym jak świeczka... I w tym momencie zasadnicza część otrzęsin zakończyła się, jednak nie dla Justyny, która niosąc kaganek oświaty zabłądziła i przez ponad godzinę błądziła po ciemnym lesie, i całej reszty, która jej szukała... Po tych wszystkich atrakcjach wieczoru przeszliśmy do dalszej integracji roku pierwszego z wyższymi, oglądając przy okazji serie slajdów z wyjazdów Koła na Białoruś i do Iranu.

Drugi dzień minął bardzo szybko, gdyż wstaliśmy dość późno (ciekawe czemu) i wybraliśmy się w drogę powrotną do Krakowa, przechodząc przy okazji przez Łamaną Skalę (929 m n.p.m.) i Leskowiec (922 m n.p.m.). Ogólnie otrzęsiny musimy zaliczyć do bardzo udanych – atrakcje mieliśmy zapewnione, jak i sami je sobie zapewnialiśmy, atmosfera bardzo przyjemna, a tym, którzy nie pojechali mówimy: „żałujcie że was nie było!!”.

Michał Piłza

KOMUNIKAT REDAKCJI

Kolegium redakcyjne z ubolewaniem stwierdza, że mimo szczególnych zachęt natury finansowej, zgłoszono do numeru 0 (słownie: zero) wszelkiego typu ogłoszeń. Przypominamy zatem, że koszt zamieszczenia np. anonsów matrymonialnych, reklam, gratulacji, kondolencji, donosów, anonimów i itp. wynosi 0 (słownie: zero zł). Ogłoszenie ukaże się w co najmniej 150 egzemplarzach!!!

„Majątkowo jestem ustawiony a do geografii mam ciągotki” – część nr 3

Czas na kolejną porcję znanej już czytelnikom Globusika serii archiwalnych cytatów. Poprzednie dwa odcinki stanowiły część archiwum Pana doc. Z. Górki. Tym razem materiały pochodzą ze zbiorów Pani dr J. Pociask-Karteczki. Apelujemy do wszystkich wykładowców aby przyczynili się do podtrzymania poczytnej serii przez dostarczenie Redakcji podobnych ciekawostek z dawnych czasów... Oby nie skończyło się na trylogii...Przyjemnej lektury!

J. G.

1. Górny Śląsk zanieczyszcza w Krakowie powietrze i specjaliści stwierdzili, że jesteśmy mutantami.
2. Współcześnie obraz Skawiny wygląda okropnie.
3. Kraków to miasto piękne i dostojne w swoim wizerunku. Fauna miasta to przede wszystkim ptaki, które są odporne na zanieczyszczenie. Ale ludzie nie poddają się. Żyją obok huty a ona zabiera im coraz więcej przestrzeni życiowej. Oni jednak nadal sadzą jarzyny.
4. Rzeki są zamulone, glony rozrastają się w okropnym tempie, Wisła robi się coraz cieplejsza a ryby w niej pływające to już chyba same mutanty.
5. W Krakowie następuje ocieplenie, co powoduje szybszą erozję gleby.
6. W Krakowie dotkliwą sprawą jest napływ turystów.
7. Procesy mierzone naszym ludzkim czasem zachodzą bardzo powoli.
8. Likwidowanie skutków degradacji środowiska to za mało i trochę nie na miejscu.
9. Wieliczka i Nowa Huta leżą na rozległej wyżynie.
10. Mimo, że Zagłębie Ruhry jest bardzo zanieczyszczone, to z kominów wydobywa się tylko biały dymek.
11. Teren charakteryzuje się pofałdowaniem i dość długim okresem wegetacji.
12. Jednym z obszarów klęski ekologicznej jest Kraków, w którym przyszło mi żyć.
13. Po drugiej wojnie światowej odrabiały się straty ludzkie.
14. Japonia jest to kraj, który liczy zaledwie 340 wysp.
15. W takim razie gdzie jest to Chile?
16. Pobreże Bałtyku? Hmm..... Byłam tam na wakacjach ... Było wspaniale!
17. Jednak planeta nazywa się Ziemia a nie oceania ...
18. Woda – jest to dar natury, o którym napisano już wiele ksiąg, prac magisterskich, czy też takich, jak ta. Ale do rzeczy. Dane mi jest pisać o znaczeniu gospodarczym.....
19. Flora i fauna morska, łapana przez ludzi jest przez nich następnie zjadana ...
20. Błędne postępowanie człowieka przyczyniło się do niszczenia własnej spizami.
21. Mniej groźne, ale o większej częstotliwości jest wypróżnianie się statków.
22. Jestem pewien, że morza i oceany są dobroczyńcami ludzkości, która gryzie rękę ją karmiącą.
23. Wędrujące lodowce przyczyniały się do zmiany terenu, na który przybywały.
24. Tatry, kiedy się wypiętrzyły były to góry kanciaste, poszarpane małymi kotlinkami.

25. Lodowiec modeluje dolinę do własnych potrzeb.
26. Nasze najatrakcyjniejsze rejony turystyczne zawdzięczają swoją popularność dzięki nieprzyjaznej dla człowieka epoce lodowcowej.
27. Przeludnienie prowadzi do zwiększenia hałasu. W dużych miastach panuje z tego powodu atmosfera bardzo nerwowa.
28. W wielkich miastach zaobserwowano gnicie miast od rdzenia.
29. Chętnie odwiedzanymi miastami przez turystów są Moskwa i Kreml.
30. Mięso jako produkt pożądania wyprzedza chęć posiadania samochodu i telewizji.
31. Np. w Indiach niektóre zwierzęta, jak święta krowa, są nietykalne, to znaczy, że człowiek nie może jej zabić nie mówiąc już o jedzeniu.
32. Częstochowa spełniała funkcje miasta religijnego, dlatego też osiedlali się tam ludzie głębokiej wiary katolickiej
33. Patrząc na mapę fizyczną Polski fascynuje mnie przebieg wysokości
34. Pierwszy lodowiec sięgnął aż po same góry miażdżąc wszystko po drodze.
35. Fałdowanie kaledońskie nie pozostawiło na obszarze Polski większych pamiątek.
36. Przyrost naturalny po wojnie był bardzo duży. Było to spowodowane chęcią wyrównania strat i dużą rozrodnością kobiet.
37. W Japonii jest duży nakład siły robotniczej.
38. Na północy od Krakowa jest pas wklęsły, a na południe zaczynają się Bieszczady
39. GOP poradził sobie jeszcze lepiej, GOP pobudował lejki depresyjne.
40. Powietrze znad oceanu jest zatrzymywane przez Warszawę.
41. Woda jest wszędzie chociaż jej nie widzimy.
42. Woda jest bardzo ważna dla człowieka. Bez niej człowiek nie jest w stanie przeżyć tygodnia czasu.
43. Wielbłąd potrafi przeżyć bez wody długo, ale ryba... ?!
44. Woda jest niezbędna czego dowodem może być ulga będąca skutkiem wypicia szklanki zimnej wody w upalny dzień, a skończywszy na potrzebach wyższych np. zjawisku tęczy.
45. To w wodzie zrodziło się życie które potem wyszło na ląd.
46. Woda jest związkiem o prozaicznej prostej budowie chemicznej.
47. W Indiach nie są całkiem Murzyni ale Hindusi.
48. Transport po Odrze odbywa się tratwami.
49. Na rzece Dunaj znajduje się stolica Wiedeń.
50. Jesteśmy nawet krajem turystycznym.

**TO MIEJSCE WCIAŻ CZEKA NA
TWOJĄ REKLAMĘ !!!**

Perskie wędrówki

Kolejne wakacje i kolejna kołowa wyprawa. Cel wyjazdu parokrotnie ulegał zmianie w ciągu roku aż ostatecznie wylądowaliśmy w Islamskiej Republice Iranu, choć słowo „wylądowaliśmy” nie jest może zbyt precyzyjne. Do Teheranu dotarliśmy po sześciu dniach podróży pociągami, autobusami i taksówkami; przez Ukrainę, Rumunię, Bułgarię oraz Turcję.

Iran od momentu przejęcia władzy przez ajatollaha Chomeiniego w 1979 r. W następstwie rewolucji islamskiej skierowanej przeciw krwawym rządom Szacha Rezy Pahlawi, stał się państwem teokratycznym. Choć jest to republika prezydencka z wybieranym, co 4 lata Zgromadzeniem Rady Islamskiej (tzw. Medżlisem), faktyczną i najwyższą władzę w kraju sprawuje przywódca religijno-polityczny, którym jest wysoko tytułowany teolog muzułmański - obecnie ajatollah Chamanei. Kontrolę nad uchwalanymi przez Medżilis ustawami sprawuje 12-osobowa Rada Strażników orzekających o zgodności aktów prawnych z szarią - prawem koranicznym. W kraju liczącym ponad 65,5 miliona mieszkańców, zdecydowana większość to muzułmanie, aż 99,1 %. W tym aż 93,4 % stanowią szyici. Chrześcijanie stanowiący 0,1 % populacji kraju, dzielą się na wyznawców ortodoksyjnego kościoła ormiańskiego, protestantów oraz nestorian (głównie Azerowie). Judaizm wyznaje ok. 50 tys. irańskich Żydów, silnie związanych z tradycją Iranu. Inną ciekawą grupą religijną są wyznawcy pierwotnej religii perskiej - zoroastranizmu, stanowiący również ok. 0,1 % ludności Iranu. Persowie przyjęli islam w VII w. w wyniku najazdów arabskich. Zarówno zoroastrianie, chrześcijanie jak i żydzi są oficjalnie uznawanymi mniejszościami religijnymi w Iranie i mają swoich reprezentantów w parlamencie. Natomiast zakazany jest powstały w połowie XIX w. odłam islamu – bahaizm, i ok. 100 tys. jego wyznawców narażonych jest na prześladowanie ze strony władz. W porównaniu z okresem rządów ojca rewolucji - Chomeiniego, obecnie życie w Iranie jest znacznie łatwiejsze, choć wciąż nad przestrzeganiem moralnego porządku czuwają wszechobecni strażnicy rewolucji - tzw. pasdarowie. Różnica polega jednak na

tym, że dziś para nie będąca małżeństwem przyłapana na trzymaniu się za ręce podczas spaceru w parku zostanie co najwyżej upomniana lub ukarana grzywną, a nie jak jeszcze kilka lat temu - publiczną chłostą. Odwilż, która nastąpiła po nastaniu liberalnej prezydentury Chatamiego rozbudziła jednak nadzieje, zwłaszcza młodszego pokolenia i inteligencji na ostateczne obalenie dyktatury ajatollahów. Najlepszym dowodem na to były ostatnie, krwawo stłumione protesty studentów w Teheranie. Dowiodły one też niestety, że zmiana obecnego układu rządzącego jest na razie niemożliwa.

Tyle, jeśli chodzi o społeczno-polityczne tło Iranu - jest to oczywiście jedynie encyklopedyczny skrót. Nie jest moim celem wnikanie w te procesy, czy ich wyjaśnianie. Bardziej zainteresowanych odsyłam do „Szachinszacha” Ryszarda Kapuścińskiego, który w mistrzowski sposób oddaje i co najważniejsze próbuje wytłumaczyć irańską mentalność, specyfikę szyizmu, sugestywnie wyjaśnia przyczyny i konsekwencje Wielkiej Rewolucji Islamskiej. Chciałbym tylko opowiedzieć jak zostaliśmy przyjęci przez Irańczyków. W czasie naszego niemal półtoramiesięcznego pobytu staraliśmy się być jak najbliżej ludzi i na ile to tylko możliwe - zrozumieć ich kulturę, spojrzenie na Świat, na Boga. Nie zamierzam też na podstawie tych doświadczeń wyciągać zbyt daleko idących wniosków, tym bardziej formułować ostatecznych twierdzeń czy uogólnień. Niemniej pozwoliły mi one nieco bardziej utwierdzić się w wewnętrznym przekonaniu, że to, co powszechnie sądzi się o islamie nie koniecznie zgadza się z rzeczywistością, i że wszędzie na świecie, niezależnie od tego, jakim imieniem nazywa się Boga, są po prostu ludzie lepsi i gorsi.

Na naszej drodze spotkaliśmy setki ludzi, u niektórych było nam dane spędzić nieco więcej czasu, byli też tacy, z którymi się zaprzyjaźniliśmy, choć być może nigdy nie będzie nam dane spotkać się ponownie. Pomimo, iż podróżowaliśmy w stosunkowo dużej 6-osobowej grupie wielokrotnie noc spędzaliśmy pod dachem dopiero co poznanych ludzi. Odwiedzaliśmy bardzo różne domy, od luksusowych willi na Darbandzie (prestżowej dzielnicy Teheranu) po gliniane lepianki w górskich wioskach. W żadnym innym kraju nie czuliśmy się tak bezpiecznie i nie zachowywaliśmy się tak beztrosko. Niemalże każdego dnia

zapraszani byliśmy w zależności od pory dnia, na obiad lub herbatę ze słodkim poczęstunkiem. Rekord padł w malowniczej wiosce Kalat w górach Kopet-Dag, tuż przy granicy z Turkmenistanem, gdzie jednego dnia wypiliśmy 32 czaje (na osobę), a dnia następnego byliśmy już gośćmi weselnymi i mogliśmy podziwiać barwną ceremonię zaślubin. Innym razem, gdy utknęliśmy w połowie drogi do Maszchadu, w sennym miasteczku Szahrud, gdzieś po środku Daszt-e Kavir - Wielkiej Pustyni Słonej, zaopiekował się nami Ahmed. Na nic nie zdały się tłumaczenia, że 6 osób z plecakami plus kierowca nie zmieszczą się do 5 osobowego Iran Khodro (irańska wersja peugeot 605). Piękniejsza część naszej ekipy usadowiła się na przednim fotelu, natomiast pozostała czwórka gniotła się z tyłu z dwoma plecakami na kolanach. Pokonanie 600 km w takich warunkach, mimo że wskazówka prędkościomierza rzadko schodziła poniżej 150 km/h, trwało całe wieki i było prawdziwą katorgą dla naszych unieruchomionych stawów. Trudy podróży Ahmed starał nam się wynagrodzić kupując w cukierni lody szafranowe. Maszchad słynie z tej wyszukanej i drogiej przyprawy. Na darmo próbowaliśmy się wykręcić od zaproszenia do spędzenia nocy w jego domu. Obawy naszych dziewcząt ostatecznie zostały rozwiane, gdy w bramie pojawił się Ahmed ze swoją uroczą córeczką - Satajesz. Poza nią miał jeszcze trójkę dzieci. Ahmed jest ogrodnikiem. Jego życie niestety nie jest usłane różami. Żona Ahmeda parę lat temu uległa wypadkowi, w którym poparzona została jej cała twarz. Twarz dla muzułmańskiej kobiety to najcenniejsza rzecz, jaką posiada. Cała reszta ginie pod czadorem. Irańscy kierowcy ciężarówek dekorują swoje szoferki plakatami, na których widać jedynie piękne oczy perskich kobiet. Na ślubnej fotografii widać jak piękną kobietą była Fatima. *Bóg tak chciał* - mówi, ale widać, że bardzo ciężko jest jej się z tym pogodzić.

W gościnie u Ahmeda spędziliśmy nie jeden, a dwa dni. Towarzyszył nam także w czasie zwiedzania miasta, poznaliśmy jego rodzinę i przyjaciół. Pożegnania zawsze są najtrudniejsze, ale przed nami jeszcze bardzo długa droga. Ahmed ściska nas mocno i całuje w oba policzki. Jak zwykle jest raczej mało mówny, ale gest ten wyraża znacznie więcej niż jakiegokolwiek słowa. Gościnność, jakiej doświadczyliśmy w Iranie na każdym kroku jest wyjątkowa. Nie jest to

tylko pusty gest, nie jest to też jedynie spełnianie religijnej powinności czy zwyczaj dyktowany wielowiekową tradycją. Przyjmując gości, człowiek Wschodu nie tylko otwiera drzwi swojego domu, ale przede wszystkim otwiera swoje serce.

Znaczna część Irańczyków, to ludzie głęboko religijni, także ci, którzy kontestują istnienie państwa wyznaniowego. Głęboko religijni nie musi jednak znaczyć fanatyczni. Na szczęście nie prawdą jest jakoby meczety były zamknięte dla niewiernych. Można do nich nie tylko wejść, ale też po prostu schronić się przed piekielnym słońcem i uciąć sobie drzemkę na miękkich perskich dywanach. W Shirazie, legendarnym mieście poetów i ogrodów, podszedł do mnie mułła - *Jaka jest twoja religia?* - Gdy z pewnym drzeniem w głosie odpowiedziałem - *masihi* (chrześcijanin) - obdarzył mnie szerokim uśmiechem i wcisnął do ręki cukierka. Nie była to odosobniona reakcja i przeważnie rozmowa na temat religii kończyła się deklaracją - *muslim, masihi* - *dust!* (muzułmanie, chrześcijanie - przyjaciele!) i nie były to bynajmniej ciche słowa. Po wizycie w małym, sunnickim meczecie na wyspie Hormoz (w Zatoce Perskiej) zaproszeni zostaliśmy przez jego opiekunów do domu gdzie przeczekałszy nieznośny żar południa (ponad 50°C) i zjedliśmy obfity obiad złożony z lokalnych specjałów - marynowanych krewetek, ryb i ryżu. Jedynym miejscem, którego nie mogliśmy odwiedzić był grób Imama Rezy w Maszchadzie - najświętszym mieście szyitów. Tę niedogodność starali się nam wynagrodzić jak tylko mogli uczniowie maszchadzkiej medresy, oprowadzając po imponującym kompleksie Holy Shrine. Tłumaczyli też, że zakaz odwiedzania grobu Imama przez nie-szyitów wydany został przez mułłów i podyktowany był obawą przed nawet nieumyślnym zbezczeszczeniem najświętszego miejsca, nie ma jednak teologicznego uzasadnienia. Na pocieszenie zwiedziliśmy jeszcze największą irańską bibliotekę, po której zbiorach oprowadzał nas sam dyrektor.

Nasza perska wędrówka jak to zwykle bywa okazała się o wiele za krótka. Jednak wrażeń wystarczy jeszcze na bardzo, bardzo długo. Zwłaszcza, że Iran to także niezwykła przyroda, zadziwiająca architektura i wspaniałe dzieła sztuki. Na długo zapiszą się nam w pamięci widoki z najwyższego irańskiego szczytu Mt. Damavand (5671m n.p.m.) i morze chmur pod stopami, wieczory

spędzone w isfahańskich herbaciarniach w oparach qualian (fajki wodnej), przy niepokojących dźwiękach irańskiej muzyki; zapachy przypraw na szirazkim bazarze, wąwozy i pola ryżowe w górach Kopet-Dag, zielone wzgórza Mazandaranu, kolorowe chusty Turkmenek z nad morza Kaspijskiego i czerwone maski kobiet z Bander-e-Abbas nad Zatoką Perską; dostojne ruiny starożytnego Persepolis i lepianki w górach na Pustyni Lota. Oczywiście były chwile lepsze i gorsze. Bywało, że bardzo nas męczyło hałaśliwe i natarczywe zachowanie ludzi na ulicy i już dość mieliśmy jak mantra powtarzającego się „Hello mister, how are you? Tank you!”, zwłaszcza, że nakładał się na to nieznośny upał. W czasie naszego pobytu nie spotkaliśmy się jednak z agresją ani żadnymi przejawami niechęci na tle narodowościowym, czy religijnym. Jedyne klótnie jakie prowadziliśmy związane były z targowaniem cen - jest to jednak element tradycji, nierozzerwalnie związany ze Wschodem i należy się do niego przyzwyczaić, podobnie jak do faktu, że czas tu płynie inaczej. My także dostosowaliśmy się do Bliskowschodniej mentalności i swobodnie płynęliśmy z rzeką

Słońce, morze, góry i... miny, czyli Góry Velebit (Chorwacja)

Tą wycieczkę planowałem od trzech lat i wreszcie udało mi się ją zrealizować. Najpierw – dwa miesiące pracy i ciężka „kampania wrześniowa” (jakoś jednak zwycięska). Wreszcie 18 września kupiłem bilet do Budapesztu, wsiadłem w nocny pociąg – i pojechałem.

Po przesiadce w Budapeszcie dotarłem w nocy do Zagrzebia, gdzie od razu przesiadłem się na pociąg do Splitu. Towarzystwo międzynarodowe (Anglicy, Irlandczycy, Włosi) – wszyscy jadą na samo południe. Po dwóch godzinach jazdy konieczność przesiadki do autobusu – tory, uszkodzone w czasie wojny i później prowizorycznie naprawione, wymagają kompleksowego remontu. Po drodze mijamy kilka całkowicie zburzonych miast (Perusic, Gospić). O czwartej nad ranem wysiadam

przeznaczenia, z ciekawością oczekując co nowego przyniesie kolejny dzień, a prawie wszystko było nowe, inne, egzotyczne i ekscytujące.

postscriptum

Byliśmy jednymi z ostatnich, którym dane było podziwiać wspaniałą twierdzę i starożytne miasto Bam. Tragedia, która dotknęła to miasto w czasie gdy świętowaliśmy Boże Narodzenie miała dla nas szczególny, bardziej osobisty wymiar. Przed oczami przewijały się twarze spotkanych tam ludzi - uprzejmego i dystygnowanego właściciela hotelu, gadatliwego taksówkarza, sprzedawcy arbużów, kobiety sprzedającej herbatę... i wielu innych ludzi, z którymi wymieniliśmy choćby uśmiech, których mijaliśmy wędrując zaułkami Bam, twarze przypadkiem utrwalone na przywiezionych kliszach. Gdy myślimy o Bam widzimy świat, którego już nie ma. Czy to możliwe że daktyle z Bam będą jeszcze kiedyś słodkie?

Karol Janas

w Graczacu i, z konieczności, kładę się spać w poczekalni na dworcu.

Rankiem ruszam w góry. Dopiero w dziennym świetle widać jak bardzo zniszczone jest miasto – położona przy dworcu szkoła ma w dachu dziurę po pocisku. Podchodzę na przełęcz asfaltową drogą (mijając po drodze grób kanadyjskiego oficera zabitego w wypadku). Dalej skręcam w góry ścieżką...

Po ośmiu godzinach marszu – bez wody i nie spotkawszy po drodze żywego ducha, dotarłem do kamienistej górskiej drogi. Tutaj znów niemiłe niespodzianki – zaznaczone na polskiej mapie schronisko okazuje się być stertą gruzu, a przy drodze tabliczki – „Achtung Minen!”. Jak później się dowiedziałem, pola minowe stawiali zarówno Serbowie, jak i Chorwaci, co gorsza – nie odnaleziono planów zaminowania.

Dwa następne dni spędziłem nad morzem, w Maslenicy. Była to jedna z nielicznych miejscowości położonych

w północnej Dalmacji, które bezpośrednio dotknęła wojna – zniszczono raketami most łączący ją z półwyspem Pag i Zadarem. Nowy, odbudowany w 2000 roku, leży ok. kilometra na północ od starego, którego szkielet wystaje miejscami z dna cieśniny.

Kolejne dwa dni spędziłem w parku narodowym „Paklenica”, obejmującym najwyższe (ponad 1700 m n.p.m.) wzniesienia Velebitu. Góry wyrastają wprost znad morza, zaś dotarcie do schroniska możliwe jest jedną z dwóch suchych dolin (w całym parku znajdują się tylko dwie studnie) – przejście trudniejszej z nich, Małej Paklenicy, zajmuje ok. 5 godzin, przy czym miejscami konieczna jest wspinaczka po głazach kilkumetrowej średnicy. Bezpośrednio nad doliną górują ściany skalne, wysokości ok. 500 m., popularne wśród alpinistów, także polskich.

UKRAINA 2003

Ukraina - blisko to, nieegzotycznie, biednie i nieciekawie- dla laika być może, ale myśmy się przekonali, że tylko to biednie jest prawdziwe. Dla nas najważniejsze było, że jest tanio. Na 3 tygodnie wystarczyło w prowincji i różnej walucie ok. 700 zł. na głowę (Łukasza, Rafała i moją).

Naszą wschodnią granicę przekroczyliśmy polskim PKS-em relacji Rzeszów-Lwów (37zł/os.). Przedmieścia Lwowa nie zachwyciły- głównie blokowiska. Już na początku zrozumieliśmy, że jako turyści płacimy dwa razy więcej (choć można się targować), oraz że lwowiaczy za nic mają przepisy ruchu drogowego, jak to podsumował Rafał: to, że jest czerwone światło, nie znaczy, że musisz stać, to że jest zielone- że nic cię nie przejedzie. Stare Miasto, mimo iż zaniedbane i z odcisniętym piętnem socjalizmu, jest rzeczywiście piękne i godne zobaczenia, niestety piwa dobrego to tam nie znaleźliśmy.

Do Iwano-Frankowska zabrał nas za półdarmo taksówkarz- nie chciał wracać do domu pustą gablotą. Zatrzymaliśmy się u znajomych Rafała, którzy nas ugościli i napoili wyśmienitym bimbrem własnej produkcji.

Trzeciego dnia nareszcie wyruszyliśmy w góry, jakby większe i bardziej dzikie niż u nas. Z Jasini po wizycie w „rejestracji”- czymś co spełnia funkcje naszego GOPR-u, zrobieniu małych

Po kilku dniach spędzonych nad morzem, wyleczywszy przeziębienie, wróciłem do Zagrzebia przez Rijekę.

Wszystkich wybierających się do Chorwacji zachęcam do odwiedzenia tamtejszych gór. Łącznie w kraju tym znajduje się kilkanaście górskich parków narodowych, zarówno w pasmach nadmorskich, (zwłaszcza w okolicach Rijeki), jak też w okolicach Zagrzebia, a nawet w Sławonii (góry Papuk). Ceny, zarówno noclegów w schroniskach, jak i żywności, są niestety wyższe niż w Polsce. Ponadto należy pamiętać, że wiele schronisk pozostaje zamkniętych od wojny, i to nie tylko na obszarach bezpośrednio dotkniętych działaniami zbrojnymi.

Szymon Fidel Komusiński

zakupów i zasięgnięciu języka, ruszyliśmy pod masyw Świdowca. Z powodu braku dokładnych map tego terenu poruszaliśmy się po prostu „na nosa”. Z trudem pokonywaliśmy kolejne metry pod górę. Po drodze „za czekoladę” miejscowy pasterz podwiózł nasze plecaki. Kładąc się spać, nikt z nas nie miał pojęcia, gdzie to myśmy wtedy zaszedł. Następnego dnia jakoś ścieżkami, polami, „na stopa za dolara” zifem dotarliśmy pod połoniny. Z tad dopiero widać było jakie spustoszenia robi gospodarka metodami zrębni całkowitej- relikty na skale europejską. ~~Na połoninach było nieciekawie- myła, wiatr,~~ zimno i deszcz- byle szybciej zejść do przytulnej doliny. Dolinka z swą rzeźbą poglądalną przypominała tatrzańską, z tą tylko różnicą, że dookoła były połoniny, a nie granie, a zamiast kosówki- karłowate olchy. Poniżej jeziora rósł dziewiczy las (jodły, paprocie, glazy i morze mchów), bardzo kontrastujący z rabunkową gospodarką leśną widzianą kilka godzin wcześniej. Okazało się, że to już był Park Narodowy.

Następnego dnia zeszedliśmy do cywilizacji. Pod sklepem dopadł nas Strażnik Parku (Masywy Czarnohory i Świdowca są w sporej części Parkiem Narodowym, ale można biwakować) i musieliśmy uiścić opłatę (2 hrywny/os., 3 hrywny/ namiot za dzień), na szczęście tylko za dwa dni i wyruszyliśmy w góry.

Po kilku kilometrach marszu drogą wzdłuż strumyka niespodzianka gdzieś się zapodziała dokładna mapa Czarnohory, chyba jeszcze w Jasini. Mamy tylko ogólne

kserówki, busole i własnego nosa. Myśleliśmy: ścieżka jakaś jest, póki idziemy pod górę jest dobrze. Po jakimś czasie dróżka znikła. Nie to że zabłądziliśmy tylko nie potrafiliśmy z dużą dokładnością wskazać na mapie miejsca naszego pobytu. Rafał chciał już wracać w dół po piwo i po nową mapę, Łukasz iść dalej, a że nadszedł zmrok, już po ciemku rozbiliśmy się na kawałku równej powierzchni – jak się później okazało – zwierzęcej ścieżce. Przed południem następnego dnia przedarliśmy się na połoninę pod Petrossem() Łukasz i Ja zdobyliśmy szczyt, by obejrzeć okolicę, Rafał w tym czasie miejscowych pasterzy, którzy co dzień wychodzą ze swym stadem na połoniny. Chłopak zapytany o szkołę stwierdził że robi podstawówkę zaocznie.

Mimo iż Howerlę widać jak na dłoni, to z powodu wielu niezaznaczonych na mapie dróg, dojście tam sprawiło nam pewną trudność. Jakoś wywnioskowaliśmy którądy i częściowo łąkami, częściowo wspinającym się tu lasem dotarliśmy pod najwyższy szczyt Ukrainy – Howerle (2061m.npm). Wieczorem na polance nie opodał szlaku, przy ognisku cieszyliśmy się widokami w promieniach zachodzącego Słońca.

Rankiem zaskoczył nas szron, wkrótce po tym jak stopniał już podchodziliśmy pod górę. Na szczycie – jakiś krzyż, obelisk, tablica, oraz jeden z najpiękniejszych widoków Europy. Gdzie okiem nie sięgnąć, 360 stopni dookoła, po sam horyzont tylko góry. Niższe zalesione, wyższe z połoninami, a z daleka kusily nas Góry Rodniańskie w Rumuni. Dla tych kilku chwil na szczycie warto tam pojechać.

Dalsza droga prowadziła nas monumentalnym, głównym masywem, bez dużych różnic wysokości, wzdłuż dawnej granicy polsko-rumuńskiej. Gdzie nigdzie niegdzie znajdowaliśmy też drut kolczasty i okopy, pozostałości walk jakie tu się toczyły jeszcze za Pierwszej Wojny Światowej. Po bokach podziwialiśmy zalesione dolinki i góry a przed i za nami połoniny. Same góry scharakteryzowałbym jako połączenie Bieszczad i Tatr Zachodnich z procesami geomorfologicznymi dążącymi ku tym drugim. Nocowaliśmy w siodle jakieś 1800 m n.p.m. by z rana od razu atakować Popa Iwana z ruinami polskiego przedwojennego obserwatorium astronomicznego („biały słoń”). Jest to obiekt zaiste godny odwiedzenia: zachowały się masywne kamienne mury, część stropów i dachów.

Jako, że za szczytem jest strefa przygraniczna, musieliśmy się trochę cofnąć, by zejść w dolinę Czeremoszu. Zejście ciągnęło się większą część dnia, rekompensowały nam to jednak widoki, ciekawa roślinność i ostańce zlepieńcowe na których Łukasz próbował sił we wspinaczce. Byliśmy też świadkami tradycyjnej zwózki drewna z gór. Ostatnie kilometry do Wierchowiny pokonaliśmy za drobną gratyfikację stopem. Po drodze kierowca wraz z innymi pomagał naprawiać most; jak się chce jechać trzeba pomóc – samo się nie robi.

Po noclegu w „turbazie” (miało być schronisko był zruinowany pensjonat – odradzam). Marszrutkami (ichniejszymi busami o zadziwiającej wręcz pojemności) dotarliśmy na raty do Czerniowiec. Trzeba mieć się na baczności przed nie zawsze udzielającymi prawdziwych wskazówek innymi pasażerami, choć z drugiej strony jest to jedyny sposób dostania informacji.

W Czerniowcach okazało się że kolejną nie pojedziemy dalej (trzeba mieć wiza mołdawskie) i za „co łaska” przenocowaliśmy w polskiej parafii. Samo miasto też jest godne zwiedzenia. Całe centrum w austriackim stylu.

Do Kamieńca Podolskiego dotarliśmy autobusem. Miasteczko – perełka. Jakby je odnowić mogło by konkurować z takim Sandomierzem, ale teraz prześwitują oznaki dawnej świetności tej wielkiej twierdzy. Dostanie biletów na pociąg nie było łatwą sprawą ale się udało i plackartą – sypialne wagony bez przedziałów, dotarliśmy do Chmielnickiego późnym wieczorem. Pociąg na Krym był dopiero po 13:00 więc szykowała się nocka na ukraińskim dworcu – rzecz dla prawdziwych twardzieli. Na szczęście znaleźliśmy pokoje do wynajęcia za jedyne 11 hrywien od osoby-skorzystaliśmy.

Następnego dnia, wyspani, chcieliśmy kupić bilety. Były trzy kasy przed nimi kolejki do których ciągle się ktoś wpychał. Odprawiono nas w pierwszej kasie, druga zrobiła sobie przerwę i gdyby nie to, że Rafał się wepchał do trzeciej zostalibyśmy na jeszcze jedną dobę. Na upomnienia miejscowych pytał: „Speak you English?”, on jak widać nie bardzo, ale oni tym bardziej i zrezygnowani dali spokój. Bilety dostaliśmy tylko na kupe – sypialne z przedziałami i 30% droższe, ale cóż było zrobić ważne, że jedziemy w końcu na Krym.

Sam półwysep po kilkunastu godzinach jazdy przywitał nas Symferopolskim dworcem kolejowym – ciekawym połączeniem orientu z architekturą ZSSR. Od razu poszliśmy kupić bilety na powrót (w sezonie trzeba to robić z dużym wyprzedzeniem) w specjalnej kasie oddalonej od dworca. Do Bakczysaraju (tego od sonetów Mickiewicza) dojechaliśmy elektryczką – pociągiem osobowym ze specyficzną atmosferą – polecanym na krótkich trasach. W Starym Bakczysaraju oddalonym nieco od centrum, godnym zobaczenia jest „Chanskij Dworiec” – Pałac Chanów. Opis – odsyłamy do wieszczą. My polecamy położoną naprzeciwko restaurację „Krymskije Czieburieki” – tradycyjne tatarskie naleśniki z mięsem. Idąc dalej – w głąb kanionu podziwialiśmy efektowne zbocza (wapienie muszlowe), oraz z „Uspieński Monastyr” – wykuty w tych wapieniach klasztor zaśnieżenia N.M.P. Po noclegu w jaskini dotarliśmy do skalnego miasta „Czufut-Kale” gdzie przez wieki w specjalnie wykutych jaskiniach mieszkali ludzie. Z płaskowyżu rozpościerał się przepiękny widok.

Jeszcze tego dnia dotarliśmy do „Bolszoi Kanion” – olbrzymi przepiękny twór natury ze strzelistymi ścianami – niestety nie przeznaczonymi do wspinaczki. Warto się zapuścić dalej niż do Wanny Młodości dokąd dochodzi przeciętny turysta. W ten sposób straciliśmy cały dzień. Mimo iż do Jałty było bliżej niż do Bakczysaraju musieliśmy się tam wrócić by okrężną drogą dotrzeć do kurortu. Samo miasto żeśmy sobie odpuścili, choć podobno jest co zwiedzać, na rzecz dwudniowego byczenia się nad zabetonowanym Morzem Czarnym. Plaże z betonu zajmują 80% wybrzeża pomiędzy Jałtą i Ałusztą. Po pewnych

nieporozumieniach z milicją (weszliśmy na teren zamknięty) zdobyliśmy słynny Aju-Dach (570m n.p.m.). Jest to wyrośnięta z morza przylegająca do łądy kopulasta góra o zboczach dużo ciekawszych od wierzchołka. Następnego dnia zostawiliśmy Rafała na plaży nudystów 5 kilometrów przed Ałusztą a ja z Łukaszem zawadziwszy o miasto (pozostałości wielkiej genueńskiej twierdzy Auston – okazało się kawałkiem wieży i muru) wyruszyliśmy na „Minaret Świata” – Czatyrdach (1527 m n.p.m.) Cały masyw składa się z dwóch płaskowyży – mniejszy położony bliżej morza na wysokości 1400-1500 m n.p.m. porośnięty trawami z licznie wystającymi skałami i głównym wierzchołkiem, większy ciągnący się południkowo w głąb łądy na wysokości około 1000 m n.p.m. już w pewnej części porośnięty lasem z dużą ilością godnych polecenia jaskiń (dwie z nich spenetrowaliśmy). Krymskie góry są całkowicie różne od naszych polskich i dlatego bardzo godne polecenia.

Następnego dnia wróciliśmy się na masyw Demerdzi (1239m n.p.m.) ze słynną doliną przywidzeń – nagromadzeniem fantazyjnie ukształtowanych zlepieńców, wyglądających niesamowicie w promieniach zachodzącego słońca.

Po nocy pod chmurką trolejbusem dotarliśmy do Symferopola skąd już całą trójką do Lwowa. W mieście trzy razy w ciągu kilku godzin służby mundurowe chciały wymusić na nas łapówkę, ale jako, że byliśmy zupełnie spłukani musieli odejść z niczym. Po powrocie do Kraju wszyscy szczęśliwi rozjechaliśmy się do domów.

Dominik Płoskonka

Samorząd Studentów na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi

Czy na pewno „brak organizacji”???

W artykule pt. „Zzerani przez biurokrację” w grudniowym Plus Ratio pojawiły się zarzuty odnośnie funkcjonowania Samorządu Studenckiego na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi. Autor kwestionuje zaangażowanie przedstawicieli Samorządu stwierdzając, że

„wyraźnie brakuje głosów studenckich przedstawicieli” i sugeruje zmianę organizacji Samorządu w poszczególnych instytutach. Według niego część winy za problemy organizacyjne na wydziale spada na przedstawicieli studentów. Pragniemy zatem,

jako członkowie Samorządu Studentów na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi odpowiedzieć Autorowi na wspomniane zarzuty (np. ciągle powtarzany przez niego zwrot „brak organizacji”) i wyjaśnić czytelnikom sposób funkcjonowania Samorządu w poszczególnych instytutach.

Przede wszystkim szanowny Autor pisze o domniemanych niedociągnięciach z naszej strony bez wiedzy o strukturze Samorządu oraz zakresie obowiązków wykonywanych przez jego przedstawicieli. Nie próbował się z nami skontaktować aby wyjaśnić interesujące go fakty. Tymczasem jedną z najważniejszych rzeczy przy pracach nad jakimkolwiek artykułem jest wiedza o tym, o czym się pisze. Należy przy tym wspomnieć, że przedstawiciele Samorządu mają ustalone godziny dyżurów. Szczegółowe dane można znaleźć najczęściej na tablicach przy sekretariatach. Możliwy jest też kontakt mailowy. Nikt, kto potrzebuje informacji nie jest odprawiany z kwitkiem. Można je będzie znaleźć również na podstronie dotyczącej naszego wydziału, znajdującej się na www.samorzad.uj.edu.pl

Informujemy, że dialog między prodziekan do spraw studenckich Panią dr hab. Małgorzatą Kruczek a Samorządem Studentów na wydziale funkcjonuje dobrze i że głos studentów jest dostatecznie słyszalny. Pomaga w tym właśnie dobra organizacja.

Nikt z nas nie powinien negować częstego bałaganu w administracji jednak nie jest zadaniem Samorządu zlikwidowanie go, ale pomoc w jego zmniejszeniu. Szanowny Autor podczas swoich częstych wizyt w sekretariacie Instytutu Geografii i Gospodarki Przestrzennej powinien

Przedstawiciele WRSS w Instytucie Geografii i Gospodarki Przestrzennej UJ:

Agnieszka Bartyzel:

agnieszkabartyzel@wp.pl;

Sebastian Styczyński: sebos@autograf.pl;

Janusz Górecki: jgorecki@gazeta.pl;

Piotr Piech: piotrpiech@gazeta.pl

Niebawem na samorządowej tablicy przy sekretariacie pojawiają się terminy dyżurów w II semestrze.

zauważyć członków Samorządu pomagających pracownikom nadążyć z nawałem pracy (szczególnie w „najgorętszych” okresach). Ta sama pomoc ma miejsce w innych instytutach naszego wydziału o czym mogą zapewnić panie sekretarki. Mamy nadzieję, że większość studentów to docenia (w przeciwieństwie do Autora).

Niekompetencja Autora wychodzi na jaw również gdy stwierdza, iż brakuje głosów studenckich przedstawicieli. Jest on studentem geografii a nie potrafi (nie chce?) zauważyć oczywistych faktów obalających jego tezę. Informujemy, że np. w Instytucie Geografii prowadzone są prace nad nowym programem studiów i czynnie w pracach tych uczestniczą przedstawiciele Samorządu w porozumieniu z Kołem Geografów. Studenckie propozycje są oczywiście uwzględniane. Przedstawicielom studentów udało się również zmienić dotychczasową organizację wycieczek terenowych na znacznie korzystniejszą – dostosowaną do zaleceń Rektora UJ. Było to możliwe po rozmowach z Panią prodziekan i ustaleniach z dyrekcją Instytutu.

Wydaje nam się, że jak na czwarty miesiąc pracy Samorządu obecnej kadencji są podstawy aby optymistycznie patrzeć w przyszłość. Nikomu nie odmawiamy prawa do krytyki ale warto, żeby była ona sensowna, oparta na faktach i dopracowana. Pozdrawiamy Autora i życzymy mu szerszego spojrzenia na świat.

Janusz Górecki, Sebastian Styczyński



ZGADNIJ KTO TO!!!

